Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 24.

dnia 15. Maja 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Skorzystajmy z tej ciszy niedługiej, aby bliżej poznać członków areopagu, zebranego w przybytku opinji publicznej.

Pan Bolesław Wyżyński, jak wiemy właściciel i redaktor *Teraźniejszości*, urodził się i wychował w Galicji, gdzie rodzice jego posiadali dość znaczny majątek ziemski. Straciwszy ich w bardzo wczesnej młodości, następnie stracił całe mienie. Było to w r. 1848, w epoce konstytucji i różowych nadziei. Nie wiedząc czegoby się chwycić, za radą jednego ze starszych przyjaciół, który w nim odkrył zdolności pisarskie, założył dzienniczek polityczny, który mimo że ulegał częstym zmianom, tak co do wielkości i formy zewnętrznej, jakoteż co do nazwy, utrzymał się do dnia dzisiejszego. Pan Wyżyński nie był publicystą w znaczeniu europejskiem; brak mu bowiem było nietylko nauki i głębszej świata znajomości, lecz także pierwszych podstaw gramatycznych, a mimo to jego gazeta utrzymywała się od lat kilkudziesięciu, pogrzebawszy przez ten czas co niemiara współzawodniczek, i sama jedna była regulatorem opinji publicznej.

Czemu to przypisać?

Oto pan Wyżyński posiadał w wysokim stopniu rozwinięty w sobie zmysł orjentowania się w położeniu. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jaka opinja zaczyna się w kraju wyrabiać; z wszystkich publicystów jakich miała Galicja, on zawsze pierwszy ją odgadywał i w pismie swojem pierwszy jej pochlebiał. Tym sposobem czytelnicy widzieli w *Teraźniejszości* wierne źwierciadło swoich zdań i przekonań. Mało go obchodziło, czyli opinja była zawsze dobrą i sprawiedliwą; jemu szło głównie o popularność i tę też zdobył. Do wziętości pisma jeszcze i to się wielce przyczyniło, że za młodych lat należał on do wszystkich spisków, że omało na śmierć nie został skazany, i długo w Kufsteinie przesiedział. To, że był szlachcicem, także mu nie zaszkodziło. Przeciwnie szlachta, w której ręku dotąd spoczywa ster polityki galicyjskiej, chętnie lgnęła ku niemu i *Teraźniejszość* za swój organ uważała. Pismo samo, jak to zresztą jego nazwa wskazuje, było wiernem odbiciem teraźniejszości. Co dziś dobre, to się chwali i podnosi, o jutrze się nie myśli, bo niewiadomo co jutro będzie popularne. Z tem wszystkiem jednak niech nikt nie sądzi, żeby pan Wyżyński nie miał zasad. Przeciwnie był to człowiek bardzo dobry, z własnej woli nikomu nigdy nie szkodził, ilokroć mógł, pomagał potrzebnym, a co jeszcze ważniejsze, że każdej jego czynności przyświecała czysta miłość kraju. O tem, by się dał przekupić, lub coś w złej woli napisał, nikt nigdy nie słyszał.

Mimo zmysłu, o którym wspomnieliśmy obszerniej, pan Wyżyński nie byłby może utrzymał *Teraźniejszości*, nie raz bowiem i nie dwa miał niebezpiecznych, bo zdolnych współzawodników, gdyby nie Żylewicz, który od 25 lat jest jego prawą ręką i głównym gazety filarem. Kilka razy zdarzało się, że znęcony świetnemi obietnicami, dzielny ten szermierz przechodził do innych dzienników, i wtedy przekonywał się pan Wyżyński, co z nim stracił; wkrótce atoli wracał napowrót

do *Teraźniejszości*, by z tymi walczyć zacięcie, z którymi przed chwilą wspólnie pracował. Pana Walerego poznaliśmy już jako członka społeczeństwa, w części także jako publicystę; nie wiele przeto potrzebujemy dodać, by jego portret wykończyć.

I on w głębokiem swojem przekonaniu dla kraju pracował, ale podczas gdy jego pryncypał jednostki szanował, on przeciwnie wtedy był najszczęśliwszym, gdy tego lub owego mógł napaść w gazecie. U niego wszystko zaczynało się i kończyło na osobistościach. Był to duch burzący. Ileż to razy naczelny redaktor prosił go, nawet zaklinał, żeby osób nie napadał; w oczy zawsze przyrzekł, po za oczy swoje zrobił. Pan Wyżyński martwił się i często gęsto robił mu z tego powodu gorzkie wymówki, raz nawet zagroził mu dymisją; on jednak wcale się tego nie uląkł, gdyż wiedział, że dla gazety jest niezbędnym. Dzięki tej taktyce, *Teraźniejszość* zrobiła się strachem, który we śnie ludzi przerażał. Nikt kładąc się spać nie wiedział, czy nazajutrz nie będzie w niej wyglądał czarniejszym od djabła i nikczemniejszym od pospolitego łotra.

Kto pana Walerego nauczył tej taktyki?

Nam się zdaje że dziennikarstwo wiedeńskie, w które wczytywał się z upodobaniem. Od lat 20 nie wziął żadnej książki do ręki, za to pilnie wertował *Blaty* i *Pressy*, a *Neue freie Presse* czytał nawet od deski do deski. Z tamtąd czerpał też wszelką mądrość, z nich nawet uczył się zasad. Dzięki im, miał na ustach zawsze frazesy liberalne, każdy jego artykuł był przepełniony okrzykami na cześć wolności, równouprawnienia. i pojęć demokratycznych, a równocześnie postępował jak skończony despota, każdemu bowiem narzucał swoje zdanie, nikomu nie pozwalając mieć swoje własne. Ilekroć pojawił się jaki dziennik z odmiennym programem, odsądzał jego redaktora i wszystkich współpracowników od czci i wiary, nazywając ich z początku niedouczonemi półgłówkami, a gdy to nie pomagało, łotrami, złodziejami, w końcu nawet zdrajcami. W jego przekonaniu godziwą jest broń wszelka, którą można zabić przeciwnika Czy zatem w ręku pana Walerego wolność druku nie zmieniła się w prawdziwą swawolę?

Zdziwi się może nie jeden usłyszawszy, że wszystkie te zdrożności bezkarnie mu uchodziły. Zdarzało się wprawdzie, że ten i ów niesłusznie w gazecie napadnięty, żądał od pana Wyżyńskiego satysfakcji, której tenże nikomu nie odmawiał i własną osobą chętnie swego współpracownika zasłaniał; — zato pan Walery, mimo, iż pojedynku nigdy nie przyjął, z kłopotliwego położenia zawsze się wykręcał i tylko raz czy dwa za grzechy swoje grzbietem odpowiedział.

O innych członkach areopagu *Teraźniejszości* nie wiele powiemy. Zresztą nie są to ludzie, przy których warto by się dłużej zatrzymywać. Żaden z nich nie jest dziennikarzem z zawodu, i każdy chleb swój uważa za *malum necessarium*. Ten z włosem szpakowatym, to były profesor jakiegoś uniwersytetu rossyjskiego. Utraciwszy wśród wypadków z r. 1863 posadę, przyjechał do Galicji gdzie nie umiejąc wziąć się do niczego, zaczął pisywać oryginalne korespondencje ze Stambułu.

Ten drugi blady, z długiemi włosami, to pan Izydor, pierwszy krytyk *Teraźniejszości*. Losy zawistne nie pozwoliły mu zdać egzaminu dojrzałości, rzucił się więc na pole dziennikarskie, i teraz z wysokości gazety wydaje stanowczy sąd o dziełach naukowych, grze aktorek i produkcjach muzycznych.

Ów zgarbiony i kaszlący, to pan Juljan, któremu ciocie rokowały dawniej świetną przyszłość w dziedzinie poezji. Pegaz jednak prędko dostał dychawicy, i odtąd biedny jego jeździec układa kronikę, często pokaszlując.

Tamci to świeżo zaciężni, którzy może jutro miejsca ustąpią, — a ten ostatni z rudą głową to pierwszy żydek, który wkręcił się w Galicji do redakcji pisma politycznego. Jak dotąd, trudni on się jeszcze zbieraniem brukowych wiadomości, lecz kto wie, czy za lat kilka nie pokusi się o posadę naczelnego redaktora. Jego przyjęciu pan Wyżyński długo się sprzeciwiał, bo jakkolwiek gazeta była postępowa, i on sam wygłaszał przekonania liberalne, instynkt mu mówił, co zresztą dziennikarstwo wiedeńskie zdawało się potwierdzać, że żydzi gdziekolwiek się wcisną, niosą rozkład i zgubę. Wręcz przeciwnego zdania był pan Walery. Ten oświadczywszy, że *Teraźniejszość* powinna dać dobry przykład i przyjęciem żyda do grona swojej redakcji okazać, iż wierzy w przerobienie izraelitów na Polaków, tak długo męczył właściciela, dopóki ten Mojżesza Silbersteina nie zamianował swoim reporterem. Już to w ogóle pan Wyżyński był dla Żylewicza bardzo słabym

i prawie nie było rzeczy, której by mu śmiał odmówić.

Jeźliby nas kto zapytał, czy wszyscy członkowie tego areopagu zapatrywali się zgodnie na ważniejsze sprawy społeczne i polityczne, zaiste bylibyśmy w wielkim kłopocie co odpowiedzieć. Na pozór niby to się zdawało, że między nimi harmonja panuje, każdy bowiem usiłował pisać po myśli naczelnego redaktora, jednakowoż ilekroć przyszło między nimi do gorętszej dysputy, tyle bylo przekonań, ile głów odmiennych. Czasem przebijało się to nawet w ich artykułach, skutkiem czego *Teraźniejszość* nie raz na trzeciej stronicy to potępiała, co na pierwszej pod niebiosa wynosiła. Wszakże dobroduszna publiczność nigdy się na tem nie poznała i według jej przekonania, *Teraźniejszość* była z dawien dawna gazetą doskonałą, pełną zasad niezmiennych. Obok tego były atoli i przekonania wspólne całej redakcji. Oto począwszy od właściciela, a skończywszy na korrektorze, o każdym z nich mówiono, że był dzielnym patryjotą, każdy bowiem Moskali nienawidził, jak umiał tak ich czernił, każdy pragnął Polski niepodległej i każdy, tym razem może z wyjątkiem jednego Silbersteina, gotów był dla niej życie poświęcić.

Jeźli kiedy, to właśnie teraz nienawiść do Rosji wrzała w ich piersiach tak gwałtownie, jak dotąd może jeszcze nigdy. Na Wschodzie, o czem dowiedzieliśmy się od ojca Samuela, zbierała się burza, w której mocarstwo północne miało wielką rolę odegrać; redakcja *Teraźniejszości* poczytywała przeto za patrjotyczny swój obowiązek, na każdym kroku stwarzać Rosji trudności i kompromitować ją w oczach cywilizowanej Europy.

Dobrą godzinę pióra skrzypiały. Wreszcie pan Walery głowę odwracając zapytał:

— Kto z was był wczoraj w teatrze?

— Nikt — krytyk odpowiedział.

— Dawano nową sztukę hrabiego Artura... Trzeba by o niej coś napisać, bo to nasz wielki przyjaciel i stały prenumerator.

— Napisze się — odrzekł krytyk.

— A czytałeś pan nowy dramat Konrada?

— Nie jeszcze... powiadają jednak, że to rzecz znakomita.

— Przeciwnie, musi to być skończona lichota, trzeba go wyczesać i to dziś jeszcze. Sam to zrobię... Ten szwajnoga śmiał raz w kawiarni naszą gazetę ścierką nazwać. Dziś dowie się za to co, wart jego dramat!

Zaledwie pan Walery dokończył, wszedł do redakcji hr. Artur Drygalski, autor komedji „Śmiech spazmatyczny“, na której dnia poprzedniego publiczność nielitościwie ziewała. Na jego widok Żylewicz szybko powstał, i rękę sobie podaną z głębokim ukłonem uścisnął.

— Przyszedłem cię prosić kochany redaktorze — hrabia przemówił — abyś był tak łaskaw coś o mojej sztuce napisać.

— Z największą przyjemnością panie hrabio, ale ponieważ wczoraj, dla nawału prac redakcyjnych, żaden z nas nie mógł być w teatrze, więc uczynimy to po drugiem przedstawieniu.

— Ach! nie wiem kochany redaktorze, czy w ogóle będzie drugi raz przedstawiona... Obsada ról tak była haniebna, że sam w najwyższym stopniu oburzony w połowie wyszedłem... Mimo to sztuka niezmiernie się podobała, od przyjaciół z prowincji dostałem już nawet gratulacyjne telegramy... może byście panowie byli za tem łaskawi wspomnieć coś o tym sukcesie i przy jednej sposobności zmyli także głowę dyrekcji za złą ról obsadę.

— Będzie panie hrabio, jeszcze dziś będzie... Wszak to nasz obowiązek.

Rzecz godna uwagi, że w rozmowie z hrabią, pan Walery nie użył ani jednego ze swych wyrażeń demokratycznych, i co słowo kłaniał mu się w sposób także nie bardzo demokratyczny.

Hrabia poczęstował Żylewicza hawańskiem cygarem, recenzentowi z daleka ręką się ukłonił i wyszedł z miną tryumfatora. We drzwiach minął się z panem Salwatorem, głośnym skrzypkiem stolicy.

— Żaden z panów nie był wczoraj na moim koncercie — przemówił muzyk poważnie — i zaiste powinniście tego żałować. Sukces był nadzwyczajny, kolosalny! Jeden z moich uczniów napisał krytykę, którą przejrzawszy uznałem za sprawiedliwą. Bądź tak dobry panie Walery i każ ją dziś umieścić.

Wirtuoz wręczył ćwiartkę zapisanego papieru Żylewiczowi, ten znów podał go krytykowi.

— Będzie, z pewnością będzie.

— Panie dobrodzieju — przemówił krytyk po odejściu muzyka — ten człowiek chwali się tu tak bezczelnie, że zaiste nie wiem co zrobić z tą krytyką. Co drugie słowo mówi o sobie jako

„o znakomitym mistrzu tonów“ i porównywa się w swojej skromności jedynie z Paganinim.

— Nie rób sobie pan nic z tego, tylko oddaj zaraz Ignacemu żeby umieścił w kronice. Salwator jest przecie naszym przyjacielem politycznym.

Wszedł jakiś studencik i podając panu Waleremu książkę, tak przemówił:

— Pan Konrad przesyła swój dramat najnowszy prosząc, żebyście panowie raczyli go przeczytać i sprawiedliwy sąd o nim wydali.

Żylewicz wstał z krzesła, w jednę rękę wziął książkę, drugą za ucho chwycił studenta, przyprowadził go do drzwi i do sieni wytrącił; potem książkę za nim rzucając krzyknął:

— Powiedz temu makabundzie Konradowi, że jak się tu przyjść ośmieli, to go taki sam los spotka!

W redakcji wszyscy głośnym śmiechem parsknęli. Żylewicz obracając się zapytał:

— Gotowiście z robotą?

— Na ukończeniu.

— Kiedy tak, to wam dziś bal sprawię. Panie Ignacy — rzekł do zecera, który właśnie wszedł po dalsze rękopisy — masz oto dwa guldeny, poszlij chłopca zaraz po szpagatówkę, chleb i kiełbasę. Niech się tylko nie bawi, bo mam jeszcze dużo roboty.

Ku niezmiernemu zdziwieniu całego areopagu, Żylewicz bowiem rzadko miewał pieniądze, pojawiły się wkrótce na największym stole redakcyjnym zamówione specjały, poczem wszyscy pióra odłożywszy, wzięli udział w spólnem śniadaniu.

W chwili, gdy w przybytku opinji publicznej, z kąd światło szerokiem strumieniem na kraj się rozlewało, trzeci dopiero z rzędu kieliszek kolejkę obiegał, zjawił się Ryszard Gozdawa i krytyka, który stał najbliżej, zapytał o pana Wyżyńskiego. Otrzymawszy krótką odpowiedź: tam! poszedł do drugiego pokoju.

Nasz przyjaciel zbyt był szczery i prawdomowny, by do wypowiedzenia tego, co mu na sercu ciężyło, wiele słów potrzebował. Zaledwie się też przedstawił, powiedział panu Wyżyńskiemu krótko a zwięźle, jaka sprawa sprowadziła go do niego. Staruszek słuchał uważnie nie przerywając; gdy młody człowiek skończył tak odpowiedział:

— Jak widzę, pan dobrodziej zapatrujesz się na kandydaturę Sterna z dwojakiego stanowiska: najpierw oceniasz ją jako żydowską, powtóre jako kandydaturę właściciela Ludaczowa. Co do pierwszej części pańskich uwag ośmielę się zauważyć, że są one całkiem błędne. Polska, mój panie ma na świecie inną misję do spełnienia, niż naprzykład Moskale, którzy żydów prześladują; ona przeciwnie, głosząc od wieków zasady wolności i tolerancji religijnej, musi im zostać wierną, bo inaczej sprzeniewierzyła by się swojej misji. Do zadań, które jej Opatrzność kazała rozwiązać w duchu tejże wolności, należy przedewszystkiem sprawa żydowska. Choćby świat cały głosił krucjatę przeciw synom Izraela, my ich znowu naszem ramieniem osłonimy, i da Bóg prędzej lub później zmienimy ich w Polaków. Wychodząc z tego stanowiska, *Teraźniejszość* nie tylko nie może być przeciwną kandydaturze żyda w waszym obwodzie, owszem z całej siły będzie ją popierała, i to tem gorliwiej, że w razie jej upadku wyszedł by u was Rusin z urny, a tego musimy się najbardziej obawiać. Rusini pracują dla Moskwy, a Moskwa jest największym Polski wrogiem.

Redaktor mówił z takiem przekonaniem, że nasz przyjaciel aż zadrżał w duszy. Spodziewał się zastać człowieka z szerszym poglądem na sprawy publiczne, tymczasem znalazł drugi egzemplarz swego ojca, tylko w wydaniu nieco lepszem, człowieka, kierującego się uczuciem, publicystę walczącego nie pod sztandarem rozumu, ale w obronie popularnych frazesów. Czy poważna dysputa była z nim zatem możliwa? Dawszy jej więc pokój, poprzestał na uwadze następującej:

— Jakkolwiek na sprawę żydowską zupełnie inaczej się zapatruję, nie będę z tobą polemizował panie redaktorze, każde bowiem przekonanie umiem uszanować. Pójdę nawet dalej jeszcze i chcę wierzyć, że Polsce, której niestety dotąd nic się nie powiodło, wszystko bowiem chciała sercem załatwiać, powiedzie się tym razem to nawet rozwiązać, co dotąd nie udało się światu całemu, mianowicie sprawę żydowską ... Ale jeźli ma przyjść do tego, toć chyba żydzi, jak to pan sam powiedziałeś, muszą zostać Polakami.... Czy jednak będą nimi, jeżeli każdy z nich będzie do Sterna podobnym? Wprawdzie gra on rolę Polaka, w gruncie atoli to żyd-niemiec, najzaciętszy wróg naszej narodowości, który wyssawszy nas zupełnie, przeniesie się do Wiednia na mieszkanie i ztamtąd będzie nam urągał.

— O ile mnie wiadomo — odparł pan Wy-

żyński — Stern jest takim tylko w pańskiem przekonaniu. Natomiast cała wasza okolica inaczej się o nim wyraża... Od dłuższego już czasu otrzymujemy ztamtąd korespondencje, od osób bardzo poważnych, które mój główny współpracownik zna wybornie, wychwalające obywatelskie zasługi Jakóba Sterna. Kiedy powiat jest za nim, toć nie sposób żądać, żeby moja gazeta była przeciw niemu. I panu radziłbym także wstrzymać się z opozycją, bo *nec Hercules contra plures*.

— Przykro mi panie redaktorze, lecz ja od moich przekonań nie odstąpię i choćbym miał pójść sam jeden, pójdę!

— W takim razie bardzo cię żałuję mój młody panie. Nikt na ochotnika walcząc, nie zrobił dla kraju nic dobrego... Zresztą zechciej pan i to wziąć na uwagę, że w tym wypadku popłyniesz w brew opinji publicznej... Co ogół za dobre poczytuje, temu nikt z nas nie powinien się sprzeciwiać.

Ryszard gorzko się uśmiechnął.

— Regulatorem moich czynności — odpowiedział — nie jest opinja mas, zmieniająca się od dnia do dnia i prawie zawsze błędna, lecz moje sumienie. Jego też panie redaktorze zawsze słuchać będę i przeciw jego rozkazom nigdy nie wykroczę.

Nasz przyjaciel, widząc bezskuteczność swoich zabiegów, zamienił jeszcze z panem Wyżyńskim kilka słów konwencjonalnych i wyszedł z niezłomnem postanowieniem, że choćby sam jeden został, nie przestanie walczyć ze Sternem.

Redaktor do drzwi go odprowadziwszy, rzekł sobie w duchu:

— Zuch chłopiec i nie głupi, szkoda tylko, że za granicą, przesiąkł nie zdrowemi ideami, które na naszym gruncie gotowe w dziki chwast wybujać... Mam atoli nadzieję, że jak sobie palce raz i drugi poparzy, da pokój rzeczom, które do niego nie należą.

Nie długo potem zjawił się Żylewicz. Ten widząc wychodzącego Ryszarda, zaraz się domyślił, ktoby to był taki.

— Zapewne młody Gozdawa? -- zapytał.

— Tak jest, on.

Tu redaktor powtórzył w krótkości swoją z nim rozmowę. Pan Walery wysłuchawszy rzekł:

— Jeźli tak, to dzisiejszy mój artykuł o kandydaturze Sterna, który właśnie napisałem, zakończę kilkoma słowy o tym paniczu, aby jego agitację sparaliżować.

— Dobrze... tylko napisz pan oględnie, przyzwoicie, nie odrazu pałką w łeb, jak to umiesz. Ludzi młodych trzeba oszczędzać, nie zaraz zabijać.

— Niech się pan nie boi... napiszę całkiem delikatnie.

Pan Wyżyński spojrzał na zegarek.

— Ach! już pierwsza... muszę iść na zgromadzenie Towarzystwa rolniczego... Pan zaś pilnuj tu gazety i przetłumacz sam telegramy, żeby się znowu jaki błąd nie wkradł. Do rewizji może wrócę, wszakże gdybym nie przyszedł, zechciej mnie wyręczyć kochany panie Walery.

Wyszedł.

Pan Wyżyński mało pisywał, za to gorliwie pracował dla gazety w inny sposób, biorąc udział we wszystkich towarzystwach i nie pomijając żadnego zgromadzenia, a ponieważ był człowiekiem dobrym i chętnym do usług publicznych, więc go wszyscy poważali i kochali, pomijając milczeniem nie jedno, co im się w *Teraźniejszości* nie podobało. Rzecz naturalna, że im mniej sam gazecie się oddawał, tem więcej zostawiał wolności Waleremu Żylewiczowi, który też na swój sposób umiał z niej korzystać. (Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Brunneck, od lat kilkunastu będący w rękach radcy Rüstow'a, był odległy o dwie mile od Ettersberg. Był to majątek rozległy, o kilku folwarkach, i kilku fabrykach, podnoszących ziemi kulturę. Radca, jako agronom, uchodził za powagę w całym obwodzie, a że obok tego był jednym z najmajętniejszych obywateli w okolicy, więc i wysokie w powiecie swoim zajmował stanowisko. Co do rozległości, Brunneck nie mógł równać się z Ettersbergiem, lecz sąsiedzi po cichu utrzymywali, że kto wie czy dochodami nie przewyższa tamtego klucza.

Brunneck administrował sam radca, z gorliwością bezprzykładną; wiecznie czynny, w ciągłym ruchu, wszędzie był, wszystkiego sam dojrzał; gdy przeciwnie w Ettersberg, spuszczano się z całym zarządem na oficjalistów, którzy też gospodarowali, jak zwykli w cudzym majątku, płatni ludzie gospodarzyć.

Jak już wspomnieliśmy wyżej, obie rodziny były z sobą spowinowacone; co jednak tak z jednej, jak z drugiej strony, zupełnie ignorowano. Na obecnem stanowisku mógłby był prędzej pan radca uderzyć o rękę panny Ettersberg; przed dwudziestu atoli laty, kiedy był skromnym dzierżawcą na jednym z folwarków do Dornau należących, a zamiast tytułu radcy królewskiego, miał tylko tytuł administratora reszty dóbr należących do pana Franciszka Ettersberga, brata stryjecznego ordynata, wtedy nie był wcale stosowną partją dla córki swojego chlebodawcy. Lecz kiedyż miłość pytała się i pyta, o podobne zawady i przesądy?

Gdy ich gwałtownie rozdzielono, gdy wszelkie walki i prośby gorące, okazały się bezskuteczne, Rüstow namówił swoją narzeczoną, która tymczasem została wieloletnią, do kroku stanowczego. Opuściła dom ojca i ślub się odbył, wprawdzie bez jego zezwolenia, lecz zupełnie po formie. Młoda para spodziewała się, że z czasem utrze się wszystko, i ojciec da się przebłagać. Lata jednak mijały, a nadzieja okazywała się zawsze zwodniczą. Ani urodzenie wnuczki, ani zmiana stosunków Rüstow'a, który prędko przyszedł do majątku i tytułu radcy, ani ponawiane prośby córki, nie zdołały zmiękczyć ojca rozgniewanego. Za nadto był pod wpływem krewnych, a ci ze wstrętem wspominali o mieszczuchu, który śmiał sięgnąć zuchwale po rękę panny Ettersberg i wszelkiemi sposobami podżegali w kuzynie niechęć do dzieci.

Pani Rüstow, umarła z ojcem się nie pogodziwszy, a po jej śmierci, znikła wszelka możliwość, by to kiedy nastąpić mogło. Pan radca również nienawidził rodziny, która go tak boleśnie zraniła w jego dumie i poczuciu własnej wartości. Tylko z wielkiej miłości dla żony, pozwalał na owe próby niefortunne w celu zbliżenia się do ojca, po jej śmierci atoli, nie ominął żadnej sposobności, by tak teściowi, jak i reszcie członków tego domu, okazywać jawnie jak sobie z nich nic nie robi, i jak ich z góry traktuje. Następstwem był ów testament, w którym o córce i wnuczce ani wspomniawszy, Dornau, ojciec jej, linji starszej Ettersbergów oddawał. Rüstow chciał go zwalić koniecznie, właśnie na mocy tego zapomnienia i ignorowania tak jego małżeństwa, jak i wnuczki, która była tegoż owocem. Proces nie był bez podstawy. Ten punkt, i inne jeszcze prawne niedokładności, których adwokaci nie zapomnieli podnieść i wyeksploatować, robiły możebnem unieważnienie testamentu. Bądź jak bądź, pewności wygrania dotąd żadna strona nie miała, i wspólni ich adwokaci cały spryt wytężali, by *pro* i *contra* rozmaite kluczki wynajdywać.

Dom mieszkalny w Brunneck, nie był ani w połowie tak obszerny i tak imponujący, jak zamek w Ettersberg, jednak na pierwszy rzut oka, robił nader miłe wrażenie. Ład i porządek, który w około i w nim panował, był wzorowy. Urządzenie wewnątrz nie było luksowne, lecz nader wygodne i w dobrym guście.

W saloniku z balkonem, gdzie zwykle cała rodzina przesiadywała, widzimy niemłodą damę, zatrudnioną przeglądaniem konotatek i rachunków gospodarskich. Była to daleka krewna radcy, którą po śmierci żony sprowadził, by zastępowała miejsce matki przy jego córce Jadwidze i rządy kobiece w domu sprawowała.

Zatopiona w swej pracy, drgnęła na krześle, gdy drzwi z trzaskiem się otworzyły i pan radca wpadł z krzykiem jak bomba do salonu.

— Ażeby djabli porwali! — zaczął od progu — wszystkie procesa, akta, sądy, nie wyłączając i panów adwokatów! — i trzasnął drzwiami taką siłą, że aż szyby w oknach zadźwięczały.

— Fe! Erychu, jak możesz tak mnie przestraszać! Od kiedyś zaczął ten proces nieszczęsny, trudno z tobą wytrzymać. Tylko on ci siedzi w głowie. Mógłbyś przecie cierpliwiej końca tej sprawy wyczekiwać.

— Cierpliwię! — radca wybuchł śmiechem ironicznym. — Chciałbym tego widzieć, który by w tym przypadku nie stracił cierpliwości! Ciągają mną po sądach tędy i owędy, wieczne protesta i rekursa, repliki i dupliki, nad każdą literą testamentu, domysły, wymysły, dowodzenia, a sprawa jak ugrzęzła w tem błocie adwokackiem, tak od sześciu miesięcy z miejsca się nie ruszyła!

Rzucił się na krzesło. Był to jeszcze człowiek w sile wieku, i widać było po nim, że w młodości musiał być bardzo urodziwy. Teraz atoli twarz na wietrze i słońcu ogorzała, przedwczesnemi zmarszczkami się okryła, czoło bruzdy głębokie poorały, dowodząc, że wiele w życiu przecierpiał, nakłopotał się i napracował. Była to dotąd postać przyjemna i imponująca, gdyby nie zbytnia ruchliwość i gwałtowność, której na starość wcale się nie żenował i z którą wybuchał dla byle czego.

— Gdzie Jadwiga? — spytał po chwili.

— Przed godziną konno wyjechała.

— Konno? Przecież nie dawniej jak dziś przy śniadaniu, najostrzej jej to zakazałem! Odwilż zupełna, drogi fatalne, miejscami ślizko, a miejscami wpada koń w śnieg po uszy.

— Czy Jadwiga robi kiedy co innego, niż to, co jej się właśnie zakazuje?

— Prawda... to przecież rzecz szczególna... ale tak robi... — mruknął ojciec, zastanawiajac się nad tem ciekawem zjawiskiem u najdroższej jedynasi najspokojniej, bez cieniu gniewu.

— Wychowałeś Jadwigę, dając jej we wszystkiem wolność nieograniczoną, teraz zbierasz owoce. Ileż to razy prosiłam cię, byś ją oddał na lat kilka do jakiego pensjonatu; nie dałeś się nigdy do tego nakłonić, aby się z nią ani na jeden dzień nie rozłączać.

— Bo nie chciałem, aby od domu odwykała. Trzymałem jej dzięki Bogu! taką hurmę guwernerów i guwernantek, że z Brunneck nie wyjeżdżając mogła się wszystkiego nauczyć.

— Najlepiej pojęła, jak się wziąć do tyranizowania ojca, i jak podporządkowywać dom cały pod swoje rządy autokratyczne.

— Ej! ty bo wiecznie perorujesz jak z kazalnicy — rzucił się pan Rüstow niecierpliwie — i zawsze musisz coś ganić w mojej biednej Jadzi. To ci jest za żywa, to nadto samowolna, to nie dość czuła i uczciwa! A jam właśnie kontent z takiej jaką jest. Chciałem mieć na starość przy boku dziecko świeże, zdrowe, żywe, śmiałe i wesołe, a nie jakąś tam *lafiryndę* salonową, pełną „nerwów“ i czułości przesadzonej.

Okiem wiele znaczącem rzucił na pannę Linę; ona również znacząco odpowiedziała:

— O! już to tu w Brunneck, kto wpierw nie umrze, musi zapomnieć że miał kiedy „nerwy.“ Kochany kuzynek stara się przeprowadzić z każdym kurację radykalną.

— Istotnie! Nawet twoje „nerwy“ Lino, w tych ostatnich ośmiu latach, znacznie się wzmocniły — uśmiechnął się p. Rüstow wąs gładząc z widocznem zadowoleniem. — Za to uczuć masz jeszcze zbyt wiele. Jakże byłaś przedwczoraj roztkliwiona, gdy Jadzia twojemu protegowanemu, baronowi Senden, udzieliła kosza potężnego.

Stara panna z gniewu poczerwieniała.

— Za to Jadwiga okazała się nieczułą aż do okrucieństwa. Śmiała się i drwiła w najlepsze z jego deklaracji, która u każdej innej panienki w jej wieku, byłaby przynajmniej wzbudziła uczucie wdzięczności i politowania, nad biednym, odrzuconym konkurentem. Senden odjechał zrozpaczony!

— Pocieszy się prędko — machnął ręką p. Rüstow. — Najprzód jestem najmocniej przekonany, że tak jego miłość gorąca, jak i rozpacz głęboka, tyczyły się więcej posagu, niż samej Jadzi. Wielce by mu się przydał co prawda, by oczyścić majątek po uszy zadłużony. Po drugie: trzeba być z przeproszeniem największym mazgajem, by szukać guza koniecznie, i oświadczać się pannie, która nas nie chce. A czyż to trudno zbadać serduszko panieńskie? Każda ma je jak na talerzu. Na koniec: jestem mocno zadowolony, że się tak stało. Moja Jadzia za dobra dla tej zbutwiałej arystokracji. Spróbowałem jej, i nie życzę nikomu leść w to osie gniazdo! Moja żona była święta kobieta, ale jej luba familijka, ta mi coś sadła gorącego za skórę zalała! Z tych wszystkich paniczów wysoko urodzonych, a jeszcze wyżej nosy zadzierających, chociaż i w głowie i w kieszeni pustki, którzy raczą moje niskie progi nawiedzać, żaden Jadzi nie dostanie, żaden, mówię ci! Jak będzie czas, sam jej wybiorę chłopca dziarskiego, jak to ja rozumiem, a nie takie spróchniałki, jak twoj cały Senden! Tfu!

Radca splunął energicznie, panna Lina w najwyższem rozdrażnieniu, zaśmiała się przeciągle i z ironją odrzuciła:

— O! to jest właśnie ta potulna dzieweczka, która będzie czekać cierpliwie, aż jej pan ojciec męża przyprowadzi. Dotąd jej serce spało, więc ze śmiechem koszyki rozdawała, i ale niechno się obudzi! Pewno się nie spyta zkąd pochodzi i kto go rodzi, a tem mniej, czy wybór jej zgodny, czy nie zgodny z ojca zasadami; powie po prostu: „tego chcę“ i pójdzie za niego, a ty jak w niczem, tak tem mniej w wyborze serca nie będziesz śmiał jej się sprzeciwić.

— Lina! nie przyprowadzaj mnie do ostateczności! — zerwał się Rüstow jak oparzony. — Czy myślisz, że ja już w obec córki, żadnej woli nie mam i mieć nie mogę?!

— Jestem o tem najmocniej przekonana — odrzekła spokojnie i znowu do swoich rachunków wróciła.

P. Rüstow biegał wściekły po pokoju, mierząc groźnem okiem kuzynkę. Nie mógł jej nie przyznać słuszności, i to go najbardziej gniewało.

W tej chwili wszedł służący z biletem wizytowym w ręku.

— Tam do djabła! już znowu wizyta? — krzyknął pan Rüstow, z widoczną niechęcią bilet do ręki biorąc.

Osłupiał. Oczy wytrzeszczył na służącego, ręce szeroko rozłożył, przyczem bilet upadł na ziemię, i bąknął jąkając się:

— A!... A!... A to co znowu! Hrabia Edmund Ettersberg u mnie? A ten czego tu szuka?

— Pan hrabia życzy sobie mówić osobiście z panem radcą — lokaj zameldował bilet z ziemi podnosząc.

Radca, już trochę ochłonąwszy, spojrzał znowu na kartę, gdzie stało najwyraźniej nazwisko hrabiego.

Chociaż nic a nic nie rozumiał, zkąd i po co spada na niego ta wizyta, skinął ręką na służącego i rzekł sucho:

— Prosić!

Za chwilę później wszedł do salonu Edmund w stroju do jazdy konnej, gdyż konno przyjechał, i powitał zupełnie mu nieznanego pana radcę, ze swobodą i precyzją starego domu przyjaciela.

— Panie radco dobrodzieju — przemówił zaraz na wstępie — pozwolisz, że mu się sam przedstawię, jako sąsiad najbliższy. Dawno pragnąłem zrobić tak miłą i korzystną dla mnie znajomość. Dotąd jednak nauki i podróże trzymały mnie zdala od domu, gdzie tylko na krótko zwykłem się był pojawiać. Skoro teraz na dobre osiedlam się w Ettersberg, pospieszyłem więc, by złożyć panu radcy moje uszanowanie, i nagrodzić sobie czas stracony.

Rüstow tak się zdumiał tym dziwnym sposobem, i puszczeniem w niepamięć wszystkiego, co dotąd zaszło między dwiema rodzinami, że na razie języka jak to mówią, w gębie zapomniał, i nawet na żadną brutalność nie miał czasu się zdobyć. Mruknął tylko coś nie zrozumiałego, i zrobił giest ręką, jakby gościa prosił siedzieć. Ten też dłużej nie czekając rozsiadł się najswobodniej w fotelu, a że jego gospodarz nie okazywał wielkiej ochoty, zabawiania go konwersacją, gość więc ją dalej prowadził, wychwalając doskonałe w Brunneck gospodarstwo, któremu radby się zbliska przypatrzeć, wiedząc, ile by na tem mógł skorzystać.

P. Rüstow tymczasem mierzył gościa od głowy aż do stóp, a przekonawszy się, że jego wytworna ele-

gancja i wyglądanie paniczykowate, wcale nie kwadruje z tym nagłym gospodarstwa zapałem, ochłodził tenże zapał pytaniem dość niegrzecznem:

— Czy wolno mi wiedzieć, czemu właściwie mam przypisać niespodziewany zaszczyt, pana hrabiego dzisiejszej wizyty?

Edmund poznał, że trzeba zmienić taktykę. Sławna gburowatość radcy warczała nad jego głową, jak grzmot jeszcze daleki, lecz który niemniej bliskie pioruny zapowiada. Młody hrabia przygotował się na to, i postanowił placu dotrzymać. Dał tylko spokój grzecznostkom, widząc jak te mało robią efektu.

— Pan radca dobrodziej jak widzę, nie raczy uwzględniać mego charakteru, jako najbliższego sąsiada? — odrzekł z najsłodszym uśmiechem.

— A pan hrabia raczysz zapominać, żeśmy jeszcze czemś więcej, niż sąsiadami, mianowicie: przeciwnikami w obec sądów — Rüstow odburknął, cały wzburzony.

Edmund poprawiał coś od niechcenia przy swoich łosiowych rękawicach, i bawił się szpicrutą:

— Ah! pan radca ma zapewne na myśli ów proces nieznośny o klucz Dornau?

— Nieznośny? Powiedz pan raczej rozwlekły. Tem się zdaje być w istocie. Znasz pan rozumie się akta, tak jak i ja?

— Uchowaj Boże! Nie znam ich bynajmniej — przyznał się Edmund z całą naiwnością. — Wiem tyle, że idzie o Dornau, przez stryja mnie zapisany, a przez pana zaprotestowany. Przysłano mi wprawdzie tych aktów całe foljały, alem ich dotąd palcem nie ruszył.

— Ależ panie hrabio, przecież ty ten proces prowadzisz — zawołał radca uderzony taką kolosalną niewiadomością.

— O! proszę bardzo! Mój adwokat go prowadzi. — Edmund zaprotestował — i jemu się zdaje, iż wypada przez uszanowanie dla woli nieboszczyka stryja, abym popierał tę sprawę. Osobiście nie przywiązuję żadnej wartości do tego majątku i jest mi rzeczą najobojętniejszą, przy kim zostanie.

— Myślisz pan może — Rüstow szorstko odpowiedział, — że ja tak bardzo dbam o jego posiadanie? Mój Brunneck wart sześć takich kluczów jak Dornau! i moja córka dzięki Bogu! nie potrzebuje bynajmniej spadku po swoim dziadzie. Ma i tak dosyć.

— O cóż właściwie mamy się procesować? Skoro tak rzeczy stoją, byłby możebny układ, który mógłby obie strony...

— Nie chcę żadnego układu! — przerwał radca gwałtownie. — Mnie nie idzie o spadek, lecz o zasadę, i tej będę bronił do ostateczności! Gdyby mój teść był nas wydziedziczył i podał powody... mniejsza z tem! Uparliśmy się, jemu na złość ślub wzięli, miał do tego prawo. Ale małżeństwo córki ignorować w sposób tak obrażający! jak gdyby nie było uczciwie zawarte i przez kościół pobłogosławione, ale naszą córkę, a swoją wnuczkę, pomijać jakby jakiego podrzutka, tego mu jeszcze w grobie nie daruję, i choćbym miał wodę pić, dojdę praw moich i mojej córki! Nasze małżeństwo musi być uznane jako prawomocne, i to przez tych właśnie, którzy dotąd udawali, że o niem nic nie wiedzą; mojej córce muszą także przyznać, że jest jedyną i najbliższą dziada sukcesorką, a wtedy gdy te wszystkie kwestje najwyższa instancja roztrzygnie, niech sobie cały Dornau idzie do djabła, lub też wraca do pańskiego majoratu!

— Oho! zaczynamy już strzelać wielkim kalibrem grubiaństw i impertynencji — pomyślał Edmund, którego to wszystko bawiło niezmiernie. Przyjechał ze stałem przedsięwzięciem, nie obrażania się niczem i brania wszystkiego za dobrą monetę. Wszak go uprzedzono, że radca jest wielkim gburem i dziwakiem. Wziął więc napad gwałtowny ze strony humorystycznej i najgrzeczniej odpowiedział:

— Nader to pochlebne dla mnie zestawienie, które raczyłeś wypowiedzieć panie radco dobrodzieju! Żeby Dornau miało pójść do djabła, tego nie można przypuścić... czy jednak złączy się z Ettersbergiem, czy z Brunneck, na to musimy czekać cierpliwie... to rzecz sędziów. Wyznaję szczerze, iż jestem bardzo ciekawy, co w tej mierze zadecydują przemądre głowy naszych Lykurgów, i jak tę kwestję roztrzygną ostatecznie?

— Nie! Żeby na procesa zapatrywać się w ten sposób, tegom jeszcze w życiu nie doświadczył! — zauważył pan Rüstow całkiem zdrętwiały z wielkiego podziwu.

— A dla czegoż by miało być inaczej. Pan radca, jak sam powiadasz, bronisz zasady, ja zaś szanuję religijnie wolę nieboszczyka. Bierność nasza w tej sprawie jest godną zazdrości. Zostawmyż więc panów adwokatów, niech się w imie Boże, czy też w imie szatana, kłócą w najlepsze i proces dalej prowadzą, a nam niech to bynajmniej nie przeszkadza do stosunków przyjacielskich, jak przystało między tak bliskimi sąsiadami i powinowatymi.

P. Rüstow chciał właśnie energicznie zaprotestować przeciw tym stosunkom przyjacielskim, gdy drzwi się otworzyły i Jadwiga stanęła na progu. Dziś, w obcisłej, czarnej amazonce, z kapeluszem strzeleckim na bok z fantanzją założonym, z twarzyczką od wiatru zarumienioną, była jeszcze stokroć piękniejszą, niż w zimowych obsłonach, które ukrywały zazdrośnie przecudne kształty jej kibici wiotkiej, a przy tem silnie zbudowanej, ni to młoda topolka, która najgwałtowniejszej burzy się opiera. Taką musiała się wydać i hrabiemu Edmundowi, gdyż pobiegł do niej o wiele prędzej, niż tego prosta grzeczność wymagała. Jadwiga musiała się już dowiedzieć, kto gości u jej ojca, nie okazała bowiem najlżejszego zdziwienia na widok Edmunda. Na jego niski ukłon odpowiedziała lekkiem głowy skinieniem; oczy jej promieniały wesołością, na ustach igrał uśmiech figlarny, zdradzający, że również jak on owego spotkania wśród śniegu dotąd nie zapomniała. Pan radca chętnie czy nie chętnie, widział się zmuszonym przedstawienia swojego gościa. Bąknął

coś, nie bardzo zrozumiałego, jednak w głosie jego nie było tak wielkiego rozdrażnienia; dowód najlepszy, że przedstawiciel znienawidzonego nazwiska Ettersberg, zaczynał go sobie powoli zjednywać.

— Pani! — Edmund przemówił do młodej osoby. — Dowiedziałem się niedawno, kogo los mi przeznaczył za przeciwniczkę w procesie o posiadanie majątku Dornau. Pospieszyłem zatem, by się pani *en forme* przedstawić, jako jej w obec sądów wróg i prześladowca.

— Przyjechałeś pan więc do Brunneck, by teren nieprzyjacielski obejrzeć? — zapytała Jadwiga figlarnie, wchodząc w ton żartobliwy młodego hrabiego.

— Niezawodnie! Było to moją powinnością, jako dobrego strategika. Ojciec pani raczył mi już darować to wdarcie się wstępnym bojem w obóz nieprzyjacielski. Czy mogę równej łaski i od pani oczekiwać, chociaż wtedy tak zawzięcie nazwisko swoje przedemną ukrywałaś.

— Kiedy? — rzucił się Rüstow zaniepokojony. — Więc znasz już hrabiego?

— Bardzo dobrze! — potwierdziła bez najmniejszej żenady. — Opowiadałam ci przecież tatku, jak powracając z miasta stary Jan w śnieg mnię z powozem wpakował, gdziebym mogła była do sądnego dnia siedzieć, gdyby nie grzeczna pomoc dwóch panów, którzy mnię z niego wydobyli.

Panu radcy nagle jasno się zrobiło. Ztąd więc poszła ta sąsiedzka przyjacielskość, i najmniej spodziewana wizyta, nad którą dotąd głowę sobie łamał nadaremnie. Rozwiązanie atoli zagadki, nie musiało go bardzo ucieszyć, gdyż odparł tonem suchym i ostrym:

— To był zatem hrabia Ettersberg! Czemuś mi od razu nazwiska nie powiedziała?

Jadzia zaśmiała się wesoło:

— Bo znam twoje, dla całego rodu uprzedzenie kochany tatku. Myślę, że gdyby na nas była spadła lawina z nienacka, nie byłbyś mi nigdy darował, żem się jej pozwoliła zasypać razem z jednym, należącym do znienawidzonej rodziny Ettersbergów.

— Lawin nie ma dzięki Bogu w naszych stronach — mruknął pan Rüstow mocno tym niewczesnym żartem zaniepokojony.

— A jednak panie radco, było to coś w rodzaju lawin alpejskich — wmięszał się Edmund do rozmowy — i czułem się nader szczęśliwy, że mogłem pani być pomocny w tym niebezpiecznym wypadku.

— Już to ty panie hrabio — zaśmiała się Jadwiga ironicznie — stałeś najwięcej na stopniu przy powozie, a twój ponury i milczący towarzysz ratował nas oboje w tej biedzie, i powozy jeden po drugim wyciągał. On... — spytała jakby z pewnem wahaniem — on rozumie się nie przybył z panem?

— Oswald nie wie wcale, iż ja właśnie dzisiaj do Brunneck się wybrałem. Gdy się dowie, mogę się przygotować na srogie wymówki, żem go pozbawił szczęścia...

— O! proszę! Nie zadawaj pan sobie daremnego trudu, nie każ mi wierzyć w coś podobnego! — przerwała mu, podnosząc główkę z tą samą minką dumną i nader niełaskawą, jak wtedy przy powozie. — Doświadczyłam już grzeczności pańskiego kuzyna, i co do mnie, nie pragnę bynajmniej odnawiać z nim znajomości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na Wakacjach

NOWELLA.

— Tak, a nie inaczej! Teraz znasz asińdzka dokładnie mój sposób myślenia o tym nicponiu. Pal go sześć! i o jego całem postępowaniu! Jeżeli więc mamy żyć w zgodzie przez cztery tygodnie, które w moim domu spędzić zamyślasz, proszę więc nie wspominać Mospaneńku o tym niewdzięczniku. Ani o moje uszy, ani nawet o ściany domu, który zamieszkuję, nie powinno obijać się imię człowieka, którym pogardzam i którego o tyle nienawidzę, o ile go wprzód kochałem. Czy panna Barbara zrozumiała?

Ostre te słowa wychodziły z ust zgrzybiałego staruszka, z twarzą zmarszczkami pooraną i siwego jak gołąbek. Na przeciw niego, przy stole jadalnym, siedziała dziewczyna cudownie piękna. Pełną była gracji w ruchach, pełno miała filuterji w oczkach czarnych, żywych i promienistych. Po ustach zaś koralowych, błąkało się coś... coś... niby drwiący uśmieszek.

— Słyszałam i zrozumiałam — odezwała się nieśmiało, spuszczając w dół oczy — i będzie mojem staraniem zastosować się do życzenia stryja dobrodzieja. Chociaż nie wiem doprawdy dla czego biednemu Jasiowi ma to być poczytane za grzech tak wielki, co przecież w ostatnich czasach popełniali niemal codziennie, hrabiowie a nawet książęta jak Thurn-Taxis i inni...

Staruszek z gniewem rzucił na talerz nóż i widelec, oparł dłonie na kolanach, a wlepiwszy swoje małe, bure ślepki w mówiącą, odparł głosem drżącym z oburzenia:

— Co wielkim panom wolno, to nie chudemu pachołkowi, Mospaneńku, jakim jest ten nicpoń! Mitrą i koroną o dziewięciu perłach nie jedno da się okryć, co z pod mieszczańskiej czapki wyłazi, ni to szydło z worka, a ludzie, pal ich sześć nam tem w oczy ćwikają. „*Quod licet Jovi, non licet bovi*"... ah! zapomniałem, że mówię do białogłowy, która przecież po łacinie nie rozumie! No, mówiąc po naszemu „Gdzie konia kują, tam niech żaba nogi nie nastawia". Ramkiewicze, widzisz asińdzka, także Mospaneńku nie ostatni. Bywali w naszym rodzie i biskupi i prezydenci Rzeczypospolitej krakowskiej, póki nam to niemieckie gospodarstwo i tego przywileju nie odebrało, pal ich sześć. No, ale wracając do rzeczy: lafirynd i

jakichsić tam imościanek Obieżyświat, komedjantek, etcetera bomba! w naszym rodzie Mospaneńku nie bywało. Z ojca pradziada, żeniliśmy się z uczciwemi dziewczętami, co to nigdy pani matki fartuszka się nie puszczały; co to potrafiły schwycić Mospaneńku za zimne i za gorące, jednem słowem: z córkami uczciwych i jak my mieszczan. Skoro więc pan Jan, pal go sześć! upatrzył sobie jakąś tam Barberynę czy Barbarosę, czy jakie licho! która jeździ po świecie, wywodzi włoskie trele i ludzi cygani, niech się z nią zdrów żeni. Mojego progu ta marmozela nie przestąpi Mospaneńku. Jeżeli w przyszłości, będzie musiał cienko spiewać, wraz ze swoją panią Tra la la, to pewno nie z mojej winy; ale że moich pieniędzy nie pogąga, choć by z głodu ginął, to także prawda!

Po ustach młodej dziewczyny znowu przemknął się drwiący uśmieszek, który jednak znikł prędko a natomiast jakby ciężka troska czoło jej sfałdowała i brwi ściągnęła. Przesunęła białą dłonią po czole, jakby natrętne myśli spędzić chciała i cichym głosem tak przemówiła:

— Proszę mi darować szanowny stryjaszku, żem się tak niepotrzebnie wprzód odezwała. Uważam sama jak słusznemi są uwagi stryja dobrodzieja. Napiszę w tym sensie do brata i będę go na wszystko zaklinała, żeby dał pokój szalonym projektom i wracał jak najprędzej pod opiekuńcze skrzydła, swojego tyloletniego dobrodzieja. Jeżeli mi się nie uda sprowadzić go na drogę świętych obowiązków, to także nie będzie w tem mojej winy, gdyż użyję całej po temu wymowy.

Pan Ramkiewicz spojrzał na mówiącą z pewnem niedowierzaniem. Czyż istotnie nawrócił ją tak prędko? Miała jednak minkę tak skromną, tak potulną, a przytem zafrasowaną — z którą, mówiąc nawiasem ślicznie jej było do twarzy — że nie mógł jej słów podejrzywać: Gniew go zupełnie opuścił, z zadowoleniem pogłaskał się po czuprynie i po brodzie.

— Tak, to lubię! Widać, żeś asińdzka, osoba choć młoda, ale stateczna i rozsądna Mospaneńku. Spróbuj, spróbuj, może ciebie usłucha ten wiercipięta. Wszak mówią Mospaneńku „że gdzie djabeł nie pomoże...“ no, to do ciebie nie da się zastosować, boś młoda i wcale nieszpetna... ale umiecie wy wszystkie nas za nos wodzić! Jak nie pomogą umizgi, figielki, następuje burza, grzmoty; a po niej Mospaneńku ma się rozumieć: deszcz obfity, *vulgo*: łzy! Ja bo tam takie rzeczy znam li z tradycji. Unikałem kobiet całe życie, umiałem się bez nich obejść, i nigdy też Mospaneńku pod ich wpływem nie byłem. Dla adwokata, żona, to istna plaga egipska! Ciekawe to, wściubskie, a ściera, a porządkuje, i przytem przewróci wszystkie fascykuły do góry nogami, że choć się zabij, nie dojdziesz potem końca!

Panna Barbara wysłuchała nowej filipiki przeciw płci swojej, z godną podziwu cierpliwością i pokorą, odwróciła się jeno na chwilkę do okna, aby przed bystrem okiem staruszka, ukryć uśmiech sarkastyczny. Wreszcie przerwała milczenie:

— Gdy tak jest, tem więcej cenię łaskawy wyjątek, dla mnie przez stryjaszka zrobiony i gościnne przyjęcie, którego doświadczyłam.

— A cóż miałem zrobić z asińdzką Mospaneńku, skoro prawie pod moim progiem wyrzuciła cię ta kolej, ni to kulę z pistoletu! pal cię sześć! także głupi, co prawda wynalazek. Gdzie to się wprzódy ludzie tak włóczyli, jak się dzisiaj włóczą! Prędko cię wiezie, to ogniste smoczysko, nie ma co mówić! Ale z człowieka robią pakiet Mospaneńku. Wrzucą, zamkną i bywaj zdrów holenderski śledziu! Cóż to asińdzka nie jesz? A kuropatewki pal go sześć, nie źle stary Maciej upietrosił. Rumiane, jak asińdzki buziak, nieprzymierzając.

Uderzył się dłonią po ustach:

— Pal mnię sześć! Na stare lata wyrwał mi się komplement! Ryehło w czas! Oj! stary, stary!

Skończyli objad. Pan Ramkiewicz podszedł do rodzaju półki okrągłej, w rogu pokoju ustawionej, o dwóch kondygnacjach i trzecim koszyku z drzewa wyrobionym. O półkę opierały się szeregiem długie cybuchy, zakończone olbrzymiemi bursztynami i ozdobione rozmaicie haftowanemi woreczkami z aksamitu o barwach jaskrawych; w koszyku zaś były fajki poskładane różnej wielkości i jakości. Staruszek, jak wszystkiemi wynalazkami nowomodnemi, pogardzał również cygarami. Palił tylko fajkę na długim cybuchu pieprzowym lub wiśniowym i tylko prawdziwy tytoń turecki, który dla niego przekradali usłużni żydkowie, mimo że Kraków od dawna przestał być wolnem miastem.

— Pal go sześć! –– krzyknął raptem zaperzony staruszek. — Łotr fajki mi nie nałożył! Ręczę, że jeszcze gęby nie obtarł, talerzy nie pozbierał, a już gdzieś z flintą wybrał się na kuropatwy! Toż to mu za to Mospaneńku cybuchem skórę wyłoję! A to gamoń! a to szubiennik!

– Jeżeli tylko tyle kochany stryjaszku — rzekła słodko Basia — łatwo nieszczęściu zaradzić. Mój ojciec także zawsze fajkę palił i nikt mu tak nie dogodził jak ja. Może stryjaszek pozwoli...

— Eh! to nie babskie sprawy! — mruknął stary niechętnie. — Chciałem powiedzieć — poprawił się — że białogłowy Mospaneńku mają inne zajęcia.

Tymczasem Basia już się do fajki zabrała. W jednej chwili o nic nie pytając, wybrała fajkę i cybuch; wyczyściła, wydmuchała, kawałkiem tiulu obwinęła i podała staruszkowi fajkę nałożoną jedną ręką, w drugiej trzymając fidybus zapalony. Tak to wszystko zręcznie i składnie robiła, że pan Kasper oczów nie mógł oderwać od tych ślicznych paluszków.

— Pal go sześć! — mruczał pod nosem. — Złoto nie dziewczyna! Idzie jej wszystko Mospaneńku jak z płatka! Inaczej będzie mi fajka smakować po takiej białej rączce, niż po łapie tego smolucha Bartka! Jak Boga kocham! Ambrozja! czysta ambrozja!

Gdy już pan Kasper jakby Jowisz drugi, otoczył się gęstemi chmurami dymku wonnego, spytała znowu Basia:

— Niech mi stryjaszek raczy powiedzieć, czem zwykł się zajmować do wieczora? Może gazety przeczytać?

— Nie! Gazety na rano do kawy Mospaneńku. Zawsze mi je wtedy czytał Jan... tam do djabła! nie miałem wymawiać tego imienia! Po obiedzie grywałem z Ja.... cóż u licha! byłbym się znowu zapomniał! No, grywałem w szachy. Ale tego przecież nie mogę wymagać, żeby białogłowa umiała grę tak misterną i trudną

— Spróbujmy kochany stryjaszku. Zawsze wieczorami z ojcem moim grywałam, a był to najlepszy szachista w Warszawie.

I znowu powiodła bystrem oczkiem po pokoju; odkryła pod oknem mały stoliczek z szachownicą na środku, i szachy w pudełku. Starła, poustawiała figury i gotowy stolik przed staruszkiem postawiła. Nawet to odgadła cudownym instynktem kobiecym, że zawsze lubi ciągnąć białemi nie czarnemi.

Gra się zaczęła. Staruszek ciągnął od niechcenia; dał sobie od razu zabrać dwa piony, ba! niedługo i królowa była w matni, tak, że jej już nie mógł uratować, a w krótce i olbrzymi „Szach Mat" nastąpił.

Starowina osłupiał!

— Czołem przed asińdzką, czołem! — rzekł po chwili milczenia, gdy przekonał się, że partję przegrał bez ratunku. — Kto tak gra w szachy, wart być mężczyzną Mospaneńku! Dalibóg! wart!

— Ja też zawsze niezmiernie żałuję, żem się chłopcem nie urodziła — uśmiechnęła się Basia figlarnie — teraz szczególniej. Mogłabym łatwiej zasłużyć na łaskawe względy stryjaszka dobrodzieja, gdyby mnię Bóg był stworzył mężczyzną. Ale cóż robić!

— No! Na to już Mospaneńku nic nie poradzisz! Zawsze jednak masz asińdzka moje całe uznanie, żeś starała się nabyć talenta tak pożyteczne. Fajkę nakładasz paradnie! a w szachy grasz... prawie tak dobrze jak ja sam. No! żeś raz wygrała, nie myśl znowu, że ci się to zawsze uda. Do razu sztuka Mospaneńku! Nie uważałem, i złapałaś starego wróbla na plewę. Więcej tego nie będzie!

Gdy na wieczór Basia pożegnała stryja, i ze świecą w ręku, udała się do pokoju dla niej przeznaczonego, pan Kasper długo jeszcze chodził po pokoju, dumał i pomrukiwał, wydmuchując dym z fajki, która mu atoli, ani przez pół tak nie smakowała, jak owa, białą rączką Basi nałożona i podana.

Musimy bliżej zapoznać się tak z p. Kasprem, jak i z jego rodziną.

Pan Kasper był już pod wąsem, i miał niedługo objąć po ojcu adwokacką kancelarję, gdy stary pan Ramkiewicz, poznawszy w jednym domu magnackim, należącym do jego klienteli, guwernantkę francuzkę, młodą, ładną, a nadewszystko sprytną i przemądrą, dał się jej opętać formalnie i w tajemnicy najgłębszej przed synem, wziął z nią ślub za indultem. Z początku próbowała lekkomyślna Francuzica, wcale nie po macierzyńsku, usidlić i przywiązać do siebie starszego od niej pasierba. Uczciwy jednak pan Kasper, odpowiedział li pogardą, na te niecne zabiegi, i odtąd powziął wstręt do kobiet na całe życie. Wkrótce przybył mu braciszek, przez matkę poetycznie Alfredem nazwany, co okropnie pana Kaspra irytowało.

Fredzio ukochany, wychowywał się pod bokiem matki, psuty, pieszczony, i wiecznie rozkapryszony. Pan Ramkiewicz, w niczem młodej żonie nie śmiejąc oponować, wzdychał, wzruszał ramionami, i patrzał dalej obojętnie, na zupełnie fałszywe syna prowadzenie.

Nie mogąc patrzeć na to wszystko, z równą jak ojciec filozofją, pan Kasper zostawszy adwokatem, otworzył kancelarję na własną rękę, za odebrany po matce kapitalik, kupił za bezcen na licytacji, piękną włość, niegdyś do jednej z pierwszych rodzin należącą, a że był pracowity, słowny, i człowiek z charakterem, przytem nadzwyczaj systematyczny i oszczędny, porastał w pierze jak to mówią, miał coraz szerszą klientelę, i majątek rósł w jego rękach jak na drożdżach.

Pan Alfred ma się rozumieć! wyrósł na kompletnego paniczyka. Niczego się nie nauczył, więc też i niczem zostać nie mógł. W owym czasie, lat temu kilkadziesiąt wstecz, można było kupić sobie oficerstwo. Najgorsi nieucy szli więc na oficerów, w którym to błogim stanie, nie mieli nic więcej do czynienia, tylko pić, hulać i grać w karty zapamiętale. Istna to była wówczas synekura.

Czuła mamuńcia kupiła tedy synkowi rangę wojskową, i już była zupełnie o jego przyszłość spokojną.

Nie długo jednak i to się pieszczoszkowi sprzykrzyło. Zaczął się oglądać, za jaką panną posażną, a złapawszy na wędkę ładnych wąsików i ładnego mundurka, młodą, niedoświadczoną sierotę, od nikogo nie zależną, osiadł w jej majątku.

Do brata nie zbliżał się wcale. Pan Kasper był mu za skąpy, za brutalny, za nadto prawdorębski.

Przysłowie mówi: „Że kto się ożeni, ten się odmieni" — na panu Alfredzie jednak nie sprawdziło się ono. Wiecznie był ten sam. Letkiewicz, próżniak, karciarz; żonę zaniedbywał, gospodarstwo szło, jak samo chciało; wreszcie, zgrawszy się raz co do grosza, powrócił do domu z gorączką, położył się do łóżka, i... nie wstał więcej.

Wdowa, zostawszy w najopłakańszym stanie majątkowym, zgłosiła się o pomoc do brata mężowskiego.

Pan Kasper pomógł, ale po swojemu. Jedynego jej syna Jasia, odebrał zaraz z rąk matki, i wziął w kluby co się zowie. Nad bratową rozciągnął także kuratelę surową, wyznaczywszy jej zaledwie wystarczającą sumkę na najskromniejsze utrzymanie.

Biedna kobieta czuła się taką samotną, taką opu-

szczoną, że gdy w parę lat później, odwidzając ciotkę swoją w Warszawie, poznała tamże człowieka miłego, wykształconego, dyrektora muzyki teatralnej, pana Wolińskiego, skoro poprosił o jej rękę, z chęcią mu ją oddała, nie spytawszy się wcale pana Kaspra o pozwolenie.

Nie posiadał się z gniewu pan Kasper i odtąd wszelkie z bratową zerwał stosunki. O jej mężu mówił zawsze z pogardą najwyższą: „ten jakiś muzykus", a Jana strzegł jak najpilniej, aby i w nim żyłka lekkomyślności się nie obudziła.

Bratanek uczył się bardzo dobrze, egzamina zdawał z eminencją, stryjowi dzielnie pomagał w zawodzie jego, i sam się do tegoż sposobił.

Gdy jednak został wieloletnim, zapragnął stanowczo odwidzieć matkę, która owdowiawszy po raz drugi, mieszkała dalej w Warszawie, utrzymując się z małej pensyjki po drugim mężu otrzymanej. Pan Woliński był również wdowcem, gdy się żenił z panią Ramkiewicz, i miał małą córeczkę, która teraz wyrosła na piękną pannę Barbarę. Macochę kochała ona jak matkę, a i dla Jasia, o ile się zdawało, żywiła uczucia serdeczne, prawdziwie braterskie.

Pobyt Jana w Warszawie, przedłużał się w nieskończoność, aż naraz ktoś ze znajomych przywiózł z tamtąd panu Kasprowi wieść straszną, że bratanek ustrzągł przy jakiejś spiewaczce Włoszce, nazwiskiem Barberyni, i myśli żenić się z nią na serjo.

Pan Kasper rzucał się i pienił ze złości; napisał list fulminujący do Jana i jego matki, grożąc mu, ma się rozumieć, zupełnem wydziedziczeniem.

Zamiast odpowiedzi pisemnej, zjechała panna Barbara, aby udobruchać starego. Tyle okazała przytem uczucia tak dla drugiej matki, jak i dla Jana, który właściwie był jej zupełnie obcym, że tem od razu ujęła sobie pana Kaspra. Jak prędko w łaskach u niego awansowała, widzieliśmy z toku ich rozmowy.

I teraz chodząc mruczał pod nosem same jej pochwały:

— Pal ją sześć! Walna dziewczyna! Choć do rany przyłóż! Ot! źle się stało, żem tak bratowę zaniedbał. Cóż miała robić biedna kobieta! Zresztą, ten muzykus, nie musiał być głupi, skoro tak mądrze córkę wychował, no! i tak znakomicie grał w szachy. Trzeba było darować wszystko Mospaneńku, do siebie sprowadzić, nie miałbym kłopotu teraz z tą... tą... Pal ją sześć! Obieżyświat; byłbym miał w domu towarzystwo, gospodynię, i partję szachów na wieczór, inną, niż z Janem, który zawsze grał jak za napaść. Stało się! Jeżeli się uprze i ożeni, jakem Ramkiewicz! wydziedziczę Mospaneńku! Hm! hm! ta Basia, serdeczna dziewucha! Szkoda że właściwie całkiem mi obca. No, cóż to szkodzi Mospaneńku... Jak to ona słodko mówi „Stryjaszku kochany, drogi" — Jan co prawda, nigdy tak nie potrafił... Zobaczymy... Zobaczymy...

Basia tymczasem, krokiem lekkim i elastycznym, przebiegła długą krytą galerję, która łączyła dom nowy, z basztą murowaną. Jedyną była pamiątką po zamku obronnym, niegdyś na tem wzgórzu zbudowanym. Gdy ją tu rano wprowadziła stara Maciejowa, żona kucharza, a jedyna niewiasta, której pan Kasper pozwolił oddychać tem samem co on powietrzem, aż krzyknęła Basia, w uniesieniu nad cudownym widokiem, który wzrok jej uderzył.

Wisła u stóp wzgórza toczyła fale ciche a wspaniałe. Po jednej stronie widać było Bielany z starożytnym klasztorem Kamedułów, po drugiej, rozścielał się Kraków, ten Rzym polski, ze swojemi niezliczonemi świątynami, ze swoim zamkiem prastarym, z wieńcem mogił, tak stosownych jako dopełnienie miasta, które samo dzisiaj, jest prawdziwą katakombą, naszej wielkiej przeszłości, i naszych wszystkich najdroższych pamiątek.

Gdy teraz szła po krętych schodach do swojej komnaty, zauważyła kilka portretów naturalnej wielkości, w ramach od wilgoci poczerniałych, okrytych kurzem i pajęczyną, które wisiały na ścianie. Rano, w pół cieniu dojrzeć ich nie mogła. Od blasku świecy uciekł z piskiem puszczyk, gnieżdżący się widocznie pod stropem wieży, dotąd przez nikogo nie odwidzanej, z głuchym szelestem, przeleciał jej również spłoszony nietoperz nad głową.

Odważne dziewczę szło jednak dalej, bez najmniejszej bojaźni:

— Uciekajcie przedemną — mówiła z cicha — puszczyki, nietoperze, zwiastuny nieszczęścia, godła ciemnoty i przesądów zastarzałych. Jam tu przybyła stworzyć erę nową, napełnić ten dom pleśnią tchnący, życiem, światłem, swobodą! Dokażę tego, na Boga! dokażę! I was wtedy moi rycerze i piękne panie inny los czeka. Nie pozwolę wam mieszkać wraz z sowami i nietoperzami, osnutych pajęczyną, w pyle zapomnienia. Znowu wrócicie do komnat jaśniejszych, jako dawni tej ziemi panowie i dostaniecie nowe, piękne, złocone ramy.

Skoro weszła do swojego pokoju, świecę zgasiła, a wydobywszy z kuferka podróżnego drabinę sznurową, wyszła na mały, okratowany balkonik, i bystry wzrok w ogród na zwiady wysłała. Nie długo jej czekać kazano. Trzykrotnie odezwał się głos przepiórki pod wieżą i cień jakiś z pomiędzy drzew się wysunął.

— Hasło! — szepnęła dziewica.

— Brat i przyjaciel! — brzmiała równie cicha odpowiedź.

Drabinka uwiązana do silnych krat okna, spadła na dół. W mgnieniu oka wdrapał się na balkon młodzian piękny i dorodny. Na powitanie porwał siostrę w objęcie i czule do piersi przycisnął.

(Dokończenie nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.